

Byle nie spaść

Rozmowa z Joanną Szczepkowską

— Nie bez oporów zgodziła się pani na to spotkanie. Czy sytuacja tak dalece nie sprzyja mówieniu o teatrze?

— Tak i bardzo proszę nie zadawać mi takich pytań, jak: „teatr prywatne czy państwowe?“, „kto ma to finansować?“, „komercja czy Teatr ogromny?“ itd. Ja się po prostu na tym nie znam i myślę, że nawet nie muszę. Teatr nie jest dla mnie ani instytucją, ani „placówką kulturalną“ - jest dziedziną sztuki, która działa na widza, albo nie i jeżeli działa, to nie zmieni tego ani Ministerstwo Kultury ani Finansów, ani najmądrzejszy artykuł w gazecie. Jeżeli działa to tylko dlatego, że są ludzie, którzy lubią robić teatr i tacy, którzy teatr oglądają. Oczywiście może się to odbywać na podwórku, a może w specjalnym budynku, który ma pełne zaplecze do stwarzania różnych iluzji. Dlaczego wolimy to drugie? Bo lepiej być zdrowym i bogatym niż chorym i głupim. A jednak wystarczy odrobina wyobraźni, żeby widzieć, że za pytaniami, które stawia przed teatrem nowy czas, kryją się z jednej strony tragedie jakichś losów, a z drugiej hierarchie wartości, które musi ustalić państwo dźwigające się z ruin. Złotego środka oczywiście nie ma, a w każdym razie ludzie sztuki go nie wymyślą, bo jeśli zajmą się myśleniem o ratowaniu sztuki, to kto w tym czasie będzie pilnował interesu...?

— Po zmianie systemu artyści znaleźli się w gorszej sytuacji?

— W określeniu „gorsza“, „lepsza“ jest pewna niewymierność. Z punktu widzenia wygody życia, obecna sytuacja jest gorsza, ale z punktu widzenia artystycznego nie tyle lepsza, co zdrowsza. Wkroczyliśmy w okres normalnego życia, które nie jest łatwe. Dotyczy to przecież nie tylko sztuki.

— Głośno komentowano przed dwoma laty pani publiczne wystąpienie w dzienniku tv, w którym obwieściła pani, że 4 czerwca 1989 roku skończył się komunizm. M.in. prof. Geremek podzielił pani zdanie, chociaż zastrzegając, że nie jest pewien, czy wygłosiłby taki komunikat. Jak zmiana systemu odbiła się na kondycji ludzi pani zawodu i w ogóle teatru już poza sferą problemów materialnych?

— Ta kondycja ma teraz jakby dwa oblicza. Z jednej strony są ci, którzy czują się zdatni do poszukiwań artystycznych - dla nich jest to okres bolesny, ale i inspirujący. Artysta zawsze stoi przed pewnym ryzykiem i lęk o swoje istnienie jest dla niego rzeczą naturalną. Z drugiej strony tacy, jak pewien pan Alfred z małego prowincjonalnego teatru. Myślę teraz o nim bardzo często. Ma około 45 lat, nie grał prawie nic, karmil



Fot. J. Nasierowska

gołębie w parku, patrzył na chłopców jeżdżących na rowerach i co miesiąc przychodził do kasy po pieniądze. Rozleniwił się, a zarabiał. Typowy wykwit systemu - rozpieszczony, taki do zredukowania, niech szuka innej pracy. Tylko że pan Alfred naprawdę nic nie umie, bo nigdy nie musiał umieć, a jego niemoc jest pośrednio wynikiem wieloletniej idyotycznej „gospodarki kulturalnej“. Ofiara systemu nie musi mieć piętna męczennika, może to być pan Alfred kompletnie pozabawiony siły woli i to też jest dramat. A poza tym? Coś znowego stało się między teatrem a publicznością. Spojrzeliśmy na siebie świeżym okiem, szukamy sposobu porozumienia. Teatr powinien być „rozrywką“, ale mimo wszystko nie może stracić tego, co miał polski teatr zawsze - pewnego święta w sobie, dotykania spraw ważnych, bo taki jest jego wyraz. A więc szukamy; coś się załamuje, coś powstaje - wiem, że to może wydać się dziwne, ale uważam, że to wspaniały okres.

— Czy frustracje aktorskie mają obecnie jedynie podłoże ekonomiczne? Wydaje się, że jest to również kwestia zmiany rangi zawodu.

— Muszę przyznać, że wiele razy spotkałam się z tak postawionym problemem, ale nie zauważyłam, żeby ktokolwiek z moich kolegów go poruszał. Oczywiście

nastąpiła jakaś zmiana, ale nie sędzę, żebyśmy idealizowała swoje środowisko, jeśli powiem, że przyjmuje ono ten fakt z pokorą. Przecież to zrozumiałe, że w sytuacji, kiedy w życiu społecznym dominuje walka polityczna, zyskaliśmy w tym „spektaklu“ poważną konkurencję, ale na dobre przedstawienia ludzie nadal chodzą i to wystarczy. Nie ma więc w tym nic szczególnego. W końcu chwila w dziejach świata i kraju jest bezprecedensowa.

— No tak, ale po okresie hołkotu i w następnych latach niesłuchanie wzrósł autorytet moralny aktora. Czy teraz tego środowisku nie brakuje?

— Nie brakuje. Przecież stale gdzieś „jestemy“. A to zbieramy pieniądze na chore dzieci, to na zwierzęta, to dajemy damowe koncerty „na cel“. Przed kilkoma tygodniami proszono mnie o pomoc w zebraniu pieniędzy dla dziewczynki chorej na białaczkę. Kiedy przyszedłem do umówionej kawiarni było już tam parę osób z teatru, tych które „działały“ od stanu wojennego. Są zawsze tam, gdzie trzeba pomóc. Po prostu wiadomo, że jeśli się do nich zadzwoni - wyjdą z domów i pomogą. Czyli te adresy i telefony, gdzie zawsze można było liczyć na wsparcie, choćby moralne, pozostały do dziś, jeżeli bywamy proszeni o pomoc, o udział w życiu społecznym, to jest to chyba oznaka jakiegoś autorytetu.

— Dobrze, jakie zatem konkretne problemy najbardziej uwierają środowisko?

— To strach o teatry, a właściwie budynki teatralne. Boimy się pochopnych decyzji, które będą miały konsekwencje na całe lata; żeby teatry nie zostały sprzedane komukolwiek, kto ma pieniądze. Czy będą wykorzystywane w zgodzie z przeznaczeniem? Strach o niestęca, w których pracujemy. Czy będą pieniądze na utrzymanie teatru? Jaki repertuar ma szansę? Każdy teatr teraz po prostu walczy, stawia sobie wyższą poprzeczkę, bo nieudana premiera może być argumentem dla tych, którzy uważają, że ten teatr istnieć nie powinien.

— Niektórzy twierdzą, że jeśli nie stać państwa na utrzymywanie zespołów teatralnych, to może poprzestać na zachowaniu sieci budynków teatralnych (na wzór francuski), a zespół tworzyłoby się ad hoc dla potrzeb spektaklu wystawianego na takiej scenie.

— Może być i tak, ale to nie powinna być reguła ani sposób na polski teatr. Według mnie, byłoby to zaprzeczenie tego, co jest właściwe naszej kulturze teatralnej od lat. Właśnie zespół decydował zawsze o charakterze teatrów polskich. Gdyby rozwiązać w Polsce wszystkie zespoły teatralne, byłaby to wielka strata dla tradycji, a kultura bez tradycji, to trochę jak kwiat bez łodygi. Trudno powoływać się w tym wypadku na coś, co wyrosło w innej kulturze. Poza tym zespół teatralny to coś więcej niż zbiór pracowników, czasem więcej niż rodzina. Przeżywamy ze sobą tak wiele: wspólny strach i wspólną treść, zazdrość, poczucie sukcesu i klęski... Zespół jest bardzo ważnym elementem życia teatralnego.

— Obecnie jest pani w zespole Teatru Powszechnego, wcześniej grała pani również w znakomitych zespołach.

— Tak, miałam szczęście do zespołów. Zaczynałam we Współczesnym, jeszcze za Erwina Axera, potem zaangażowałam się do Teatru Kazimierza Dejmka...

— Dlaczego odeszła pani z Polskiego do Powszechnego?

— Dlaczego? To się fachowo nazywa „płodozmian“. Określenie raczej rolnicze, ale bardzo trafne. Zmieniając teatr, zmienia się otoczenie, repertuar i publiczność, a więc jakby rodzaj odnowy, która powinna dać lepsze plony. Mimo wielu zastrzeżeń do Teatru Polskiego, uważam, że dyrektor Dejmek jest jednym z niewielu artystów w Polsce, który naprawdę zna tę ogromną maszynę, jaką jest teatr, od aktorów po „gwoździe“ do dekoracji. To był dla mnie bardzo ważny okres i chyba wiele się nauczyłam. Od lat patrzyłam jednak w stronę Teatru Zygmunta Hübnera, w końcu przepłynęłam Wisłę i zostałam na Pradze.

— Pod dyktando Zygmunta Hübnera pracowała pani w Powszechnym przez rok. Po jego śmierci w teatrze pozostał zespół, ale czy zachowało się coś jeszcze z ducha jego teatru?

Byle nie spaść

Dokończenie ze str. 9

- To mało powiedziane, że coś się zachowało. Bardzo dużo, co jest szczęściem i nieszczęściem tego teatru. Nieszczęściem, bo nikt nie jest „taki jak Zygmunt Hübner”, a szczęściem, bo pewna poprzeczka, którą postawił, wisi wciąż nad nami. To nas zmusza do ustawicznej walki z przeciwnościami, cementuje. Ten teatr jest naszym wielkim problemem i dlatego mam pewność, że wyjdziemy na swoje.

- Ukazała się właśnie książka Zygmunta Hübnera „Polityka i teatr”, w której autor napisał „najwięcej szans na uprawianie sztuki prawdziwie niezależnej mają artyści obdarzeni polityczną świadomością”. Zgodzi się pani z tym?

- Na pewno mając własne zdanie na temat tego, co się dzieje, można uniknąć wmanewrowania w sytuacje sprzeczne z własnymi przekonaniem, czyli zachować niezależność.

- Czy w zawodzie aktora, uważanym za usługowy, jest naprawdę miejsce na niezależność? Czy właściwie jest niezależność artysty?

- To zależy od artysty... Ale zawód aktora wymaga rzeczywiście pogodzenia różnych sprzeczności. Niezależność - to znaczy być wiernym sobie, bronić swoich racji, umieć powiedzieć nie, a nawet odejść. Ale z drugiej strony, w tej zespołowej pracy aktor musi być otwarty na propozycje reżysera, innych aktorów, trzeba umieć słuchać i przyznawać rację innym. To ścieranie się indywidualności, próba sił i kompromisów. Trudna sztuka wzajemnego porozumienia. Niezależność każdego rodzaju jest trudna, a aktor nie tworzy sam i nie sam jest odpowiedzialny za dzieło. Czasem wierność samemu sobie wymaga żelaznych nerwów.

- W „Zapiskach aktorki”, które prowadzi pani na łamach „Gońca Teatralnego”, opisuje pani „Wyzwolenie” z udziałem Haliny Mikołajskiej w Teatrze Polskim. Pamiętam ten spektakl, jak publiczność witała owacyjnie Mikołajską, gdy pojawiła się na scenie,

zanim zaczęła kwestię. Był to bolid dla jej hartu ducha, postawy, mimo represji, uwłężenia. Ona sama, jak pani zanotowała, przyjęła to gorące powitanie słowami „Zwisam ze sceny jak sztandar narodowy. Nikt nie słucha jak gram”. Wydaje się, że jest to pewne niebezpieczeństwo.

- Jedno z najmniejszych, na jakie się naraziła. Kiedy pisałam o niej to wspomnienie pt. „Ułamek portretu”, zdałam sobie sprawę, że nie ma takiej rozmowy ze mną czy wywiadu, w którym bym nie sięgnęła myślą do osoby Haliny Mikołajskiej. Oczywiście wywarła na mnie ogromne wrażenie: jej sztuka i jej wybór. W wypadku sztuki aktorskiej istnieje niebezpieczeństwo, które stwarza choćby największa popularność, wynikająca z innego źródła. Można stać się konkurencją samą dla siebie. Popularność osoby publicznej może przytłoczyć popularność artysty, jego tajemniczość, nieokreśloność. Cóż, kiedy właśnie wrażliwość taka, jak u Haliny, każe przeciwstawiać się złu za wszelką cenę.

- A skąd w pani poza artystycznymi zainteresowaniami tak dużo jeszcze społecznikowskich pasji?

- Ja nie mam społecznikowskich pasji. Nie zasłużyłam na takie określenie. Społecznik to ktoś, kto wykazuje jakąś inicjatywę w życiu społecznym, kto sam z siebie angażuje się w jakąś pracę. Gdybym się zgodziła z tym określeniem, nie byłabym w porządku wobec prawdziwych społeczników. Ja tylko „bywam”, a to za mało. „Bywam”, to znaczy staram się reagować na każdy telefon czy list z prośbą o pomoc. Jedynym słowem wykonuję jakąś część „czamej roboty”, ale za mało, proszę mi uwierzyć. Gdybym umiała naśladować swoją matkę! Często ktoś do mnie podchodzi, ja myślę, że po autograf, a on mówi - proszę pozdrowić swoją mamę, tak mi pomogła...

- Teatralne zainteresowania odziedziczyła pani po ojcu?

- No oczywiście. Jeszcze wtedy były tradycje. Niepowtarzalny styl, atmosfera. Aktorzy nie rozstawali się zaraz po spektaklu, były śmiechy, zabawy, rozmowy...

Zachwyciłam się tym i pewnie dlatego zostałam aktorką, ale nie wzięłam pod uwagę, że wszystko się zmienia. Schyłek wieku...

- Pani dziadek, Jan Parandowski, podobno pokładał w pani raczej literackie nadzieje.

- Wyglądało na to, że będę pisać. Jako dziecko robiłam całej rodzinie prezenty-wiersze, więc jako obdarowani musieli się zachwycać. Do samej matury wyglądało to tak, że siadałam do geometrii, a pisałam opowiadanie o księżycu.

- Czy do pisania wróciła pani z inspiracji „Gońca Teatralnego”? Na jego łamach wypowiada się pani w „Zapiskach aktorki” już nie tylko wierszem, bo są to różne formy - proza poetycka, felleton, list, piosenki.

- Nie zawsze coś tam pisałam. Jest tego sporo, gdyby to zebrać, można by pewnie wydać opowiadania i wiersze. Ale trzeba by to uporządkować. Ba! Łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić. Natomiast, jeśli chodzi o współpracę z „Gońcem”, bardzo ucieszyłam się z tej propozycji, lubiłam ten czas, kiedy musiałam co tydzień usiąść i coś wymyślić, ale teraz na pewien okres zawiesiłam pisanie. Coś się stało z duchem pisma i nie wszystko w „Gońcu” mi się podoba. Uważam, że to powinno być teatralne forum dyskusji otwarte dla wszystkich. Tymczasem wiele w nim skrajnych sądów, jednoznacznych ocen ludzi znaczących dla teatru i dużo nie sprawdzonych plotek. Mam nadzieję, że to się zmieni, jestem zresztą z redakcją w kontakcie.

- Pytają panią, dlaczego pani pisze?

- Owszem, ale to jest pytanie dla psychologa. Sama chciałabym wiedzieć tak jak, dlaczego gram. Myślę, że jedno i drugie w jakimś sensie jest literaturą. Teatr przecież dodaje inny wymiar własnej literaturze. Pracując nad rolą dodaje się do literackiej wersji swoje widzenie świata. Z tym że w pisaniu jest luksus intymności i pewnie dlatego pisanie czy malowanie jest drugą, często skrywaną, stroną twórczości aktorów - potrzebą wyrażenia tego, co daje skupienie w samotności.

- Co panią ostatnio zafascynowało z literatury?

- „Opowiadania na czas przeprowadzki” Pawła Huelle. To świetna literatura, taka, jaką lubię, inteligentna, poetycka i konkretna, skupiona na szczególe.

- Szczegół zatrzymuje czas?

- Tak. To ważne, żeby się czasem zapatrzyć na łyżeczkę od herbaty...

- Co jeszcze próbuje pani znaleźć w sztuce?

- To może brzmieć dziwnie, ale uporządkowanie. Mam zdaje się dość rozsądzając wyobraźnię, sto tysięcy pomysłów i cieszę się, kiedy choć część mogę zamknąć w jakiejś roli czy wierszu.

- Wykorzystała pani wszystkie swoje artystyczne szanse, np. nagrodę Fundacji Szyfmana w 1986 r. - pobyt w Nowym Jorku?

- Wykorzystałam, ale na swój sposób. Przez miesiąc chodziłam po tym mieście-potworze, poznawałam ludzi, oglądałam przedstawienia. Coś zrozumiałam, coś podpatrzyłam i z tym „cosiem” wróciłam do kraju. Jeżeli pani pyta o spotkania i ludzi, od których „coś zależy” - miały być, ale ja się albo spóźniłam, albo zapomniałam... W tych sprawach nie mogę na siebie liczyć. Jestem prawdziwym antytalentem.

- Skoro usiłowano pomóc, może należało spróbować?

- Dadzą sobie radę beze mnie. Poza tym pod koniec tego „wyjątkowego” miesiąca wyrwałam się już do domu.

- Potrafi pani pogodzić różne sfery życia i osiągnąć życiową harmonię?

- Harmonię? Tak - to jest rzeczywiście do harmonii podobne - zwijam się i rozwijam, a wychodzi cała gama stresów.

- I co pani wtedy robi, jak je przełamuje?

- W ogóle nie przełamuję. Jeśli mam stres, to się stresuję, jeżeli mnie coś męczy, to się męczę. Dom, dzieci to dobrze robi na ból istnienia, chociaż trochę samotności też by się przydało.

- Może wyjściem jest właśnie zawieszenie między codziennością a sztuką?

- No tak, byle tylko nie spaść pewnego dnia!

Rozmawiała
MONIKA KUC